

Katarzyna Lewcun

CELEBRYTKA
czyli
moje niezwykle życie



Kraków

*This is the first day
of the rest of your life...*

WSZYSTKO zaczęło się od wygłupu... Więc może nie powinnam się dziwić, że dziś jestem tym, kim jestem?

Poszłyśmy z koleżanką na casting do popularnego programu, w którym, no cóż, każdy wykazuje się tym, co potrafi najlepiej, tak to nazwijmy. Były wakacje, chciałyśmy zrobić coś śmiesznego. Tak bywa: „Słońce świeci nad nami, ogrzewa nasze nagie ciała promieniami”, a w główkach lęgną się głupoty... Kolejka była masakrycznie długa. Ale to nic, poznawałyśmy ludzi, piłyśmy browary. Było i wesoło, i nerwowo. Kolorowy tłum, nie żadna tam szara masa. A w powietrzu aż gęsto od nadziei, oczekiwań i niepewności. Tyle marzeń stłoczonych na kilku metrach kwadratowych powierzchni!

Kiedy już dotarłam przed oblicze szanownego jury, byłam nieźle podcięta. Dygnęłam jak grzeczna dziewczynka i oznajmiłam, że wystąpię tylko pod warunkiem, że oceniając mnie, nie będą niemili. Zaprezentowałam im mój autorski „sexy body dance” – ot, takie sobie kręcenie pupą, fikanie nogami, elementy tańca brzucha. Na dyskotekach się sprawdza. Najlepiej

wychodzi, gdy się człowiek lekko zalkoholizuje. A jak skończyłam, posłałam całusy w stronę rozbawionej publiczności. Jurorzy się śmiali. I wiecie co? Przeszłam do następnego etapu!

Wyściskałam na korytarzu moją kumpelę Madzię. Popiszczalam do kamery. Zadzwoiłam do rodziców, ale ci zaczęli coś zrędzić, więc się rozłączyłam. A pani z komisji powiedziała, że jestem typową reprezentantką swojego osobliwego pokolenia. Wtedy puściłam do niej oko. Za to w domu, na trzeźwo, przeraziłam się, że to wszystko będzie w telewizji. Popłakałam się. Wyobrażałam sobie komentarze niektórych znajomych, kpiny nauczycieli, no i bezbrzeżne morze obmowy za plecami... Madziulec, na swoje szczęście, stchórzyła i zrezygnowała z występu. (Tej to dobrze. Jakoś tak zawsze jest w naszym duecie, że razem wymyślamy różne głupoty, a kiedy przychodzi do ich realizacji, zostaję sama na placu boju. Powiedzmy, że jestem ta bardziej szalona, to nawet nieźle brzmi.)

Mój chłopak nagrał odcinek, w którym wystąpiłam. Uważał to wszystko za przedni żart, puszczał nagranie swoim kumplom i rozpraszał moje obawy. Powiedział, że mogę spokojnie wystąpić w drugim etapie:

– Hej dziewczyno, luz i spontan, trochę dystansu do siebie! Traktuj to jak przygodę, która zaraz się skończy. Nie ma co się szczypać!

To było miłe i krzepiące. Zresztą jak cały on. Właśnie, poznajcie mojego Tomka: wysoki (metr dziewięćdziesiąt), wiecznie uśmiechnięty chudzielec (siedemdziesiąt kilo w ciuchach! Chuchro jedno!). Ma ogromny, garbaty nos, z profilu wygląda

jak sęp. Włosy i oczy szare jak „cień w dolinie mgieł”. (Nie sądzicie, że szarość jest najszlachetniejszą z barw? Bo ja tak.) Wystające kości policzkowe, wąskie usta i brak zarostu. (No, on się upiera, że coś tam rośnie, ale ten delikatny puszek to na pewno nie broda i wąsy.) Bywa zgryźliwy, ale generalnie do rany przyłoż. Razem przygotowaliśmy dialog pod tytułem „Perły podrywu”, który miałam wygłosić, odgrywając na zmianę role zaćpanego amanta i zauczonej amancicy. Skecz autorski. Myślałam: „Telewizja, kamery, upudrują mi twarz i zrobią profesjonalny make up! Ale jazda! Muszę wszystkiemu się przyjrzeć!”

Tylko... umknął mi fakt, że to ja będę obiektem „do przyglądania się”...

* *
* *

No i była porażka totalna. Myślałam, że mam talent komiczny... Nawet nie chcę powtarzać, jakie przykre słowa padły podczas oceny. Troje szyderczych ludzi. Bezlitosna ława przysięgłych. Wydali wyrok ot tak, jakby strzepywali pyłek z rękawa. Ten pan, który ubiera się młodzieżowo, zauważył zgryźliwie, że już błysnęłam ciałem (na pierwszym castingu) i „intelektem” (przed chwilą) i że aż się boi, czym zechciałabym zabłysnąć w następnej rundzie... Jedna z jurerek ze zboląłą minką przeproszała, że to ich wina, nie powinni lansować głupiutkich nastolatek tylko dlatego, że są śmieszne... Miałam jej może podziękować, że się skapnęła, i to rychło w czas, że zrobili ze mnie telewizyjną błaznicę?

Zapomniałam, że kręcą na żywo. Wzruszyłam ramionami i powiedziałam: „ODPIEPRZCIE SIĘ!”

Uwierzycie, że banalne przekleństwo (nawet nie takie znowu „mocne”) stało się zaklęciem, które przemieniło cały mój świat?

Wróciłam do domu cała zapłakana. Było mi tak okropnie wstyd! Zalewałam się łzami. Tomuś powiedział, że to już koniec tego cyrku, że wszystko będzie dobrze. No i chyba nigdy w całym swoim życiu bardziej się nie pomylił. Bo właśnie wtedy zaczęło się na dobre. Wystartowała moja dziwna i głupia kariera celebrytki. Zostałam złapana w sidła sławy.

– Jesteś na „Mopsiku”! – koleżanki w klasie były podekscytowane. Ja – oglupiała i zdezorientowana. Czułam w powietrzu zapowiedź kłopotów. „Mopsik” to plotkarski portal internetowy traktujący o wydarzeniach (nawet tych najbardziej błahych, typu zakup papieru toaletowego) z życia gwiazd, gwiazdeczek i gwiazdnego pyłu show-biznesu. Ha! Artykuł nosił tytuł „Pyskata małolata uciera nosa jurorom!”. Pięknie po prostu. Pozwólcie, że wyjaśnię: jestem raczej nieśmiała z natury. Poza tym nie znoszę chamstwa, nigdy wcześniej nie odezwałam się niegrzecznie do starszej osoby. Miałam świadomość, że moi rodzice spalą się ze wstydu, a jeszcze wcześniej spopieli mnie ich gniew. Byłam pełna niesmaku. Jak można rozdmuchiwać taki przykry incydent? No i to moje zdjęcie: wielkie i wyraźne, każdy mnie na nim rozpozna. Twarz czerwona i wykrzywiona złością. Buuuuu!

* *
* *

Lekcja języka polskiego:

– Marcjanna do odpowiedzi. Tylko, bardzo proszę, nie kaź mi się odpieprzyć.

Cała klasa rechocze.

Jakaś ruda dziewczynka w supermarkecie powiedziała mi, że jestem super. Dzięki wulgaryzmowi zostałam idolką dzieci? Pomocy!

Jakaś pani, której termin przydatności dawno już minął, splunęła, mijając mnie na ulicy. Ha!

* * *

Starzy trochę poujadali, cóż, zasłużyłam. Tomik doradzał spokój i cierpliwość, każda prowincjonalna sensacja kiedyś cichnie... Uczylałam się do matury i próbowałam zapomnieć... Wtedy pojawiła się ONA... PROPOZYCJA. Niemoralna? Nie do odrzucenia? Na pewno kusząca... Chcieli, żebym wystąpiła w reklamie dezodorantu. Produkt skierowany do młodzieży. Oto scenariusz: skaczę sobie i pląsam na łóżku ubrana w fi-kuśną koszulkę nocną. W tle muzyka typu „łubu-dubu”. Zza drzwi głosy dorosłych: „ścisż to, wyrzuć śmieci, odrób wreszcie zadanie!”. Uśmiecham się do kamery i mówię: „A weźcie się ode mnie wszyscy od... psikajcie”, po czym zraszam się hojnie pod pachą „Kwiatowym szaleństwem” i dodaję: „Kwiatowe szaleństwo – młodość, wolność, radość życia”. Kręciliśmy dziesięć dni. Kawalek ruchowy poszedł stosunkowo gładko. Ale ogłoszenie krótkiego i bądź co bądź niezbyt skomplikowanego tekstu mnie przerosło. Powtarzaliśmy i powtarzaliśmy i ciągle

wychodziło albo sztucznie, albo niewyraźnie. Za szybko. Za wolno. Bez entuzjazmu. Z nadmiarem entuzjazmu. Chryste. Od uśmiechu sztywniały mi mięśnie twarzy. Reżyser tłukł głową o ścianę. W końcu zażądałam bani wódki na rozluźnienie i bach – padło sakramentalne „mamy to”. Ufff.

Żenada, prawda? No i żerowanie na własnej wpadce. Tylko, widzicie, oferowano mi za to kupę forsy. Tyle pieniędzy nigdy nie miałam. Jestem leniwa i niezaradna. Owszem, zdarzało mi się pracować dorywczo. Najlepiej wspominam rozdawanie ulotek. Niby nuda, ale wtedy poznałam Tomka – chodził przebrany za wielkiego żółtego kurczaka-reklamówkę. Romantyczne mieliśmy początki, nie ma co. Skarżyłam mu się, że przechodnie są niemili. On narzekał na upał panujący wewnątrz kostiumu: „Dziewczyno, pocę się w tym jak prosię na roźnie!”. A z kolei praca w lokalnym fast foodzie była najgorsza. Pośpiech i nerwówka! Musiałam pytać kierownika o pozwolenie za każdym razem, kiedy chciałam skorzystać z toalety. A ten ich szyfr! Dłaczego, jeżeli dostałam zamówienie na osiem hamburgerów, to do kuchni miałam przekazać: „osiem regularnych proszę”? Regularne to można mieć wypróżnienia. Mam na zewnętrznej stronie dłoni bliznę po oparzeniu olejem – taki bonus.

A jak przeprowadzałam ankiety telefoniczne, to miałam najniższą wydajność z całego zespołu i po szkoleniu nie zostałam przyjęta na stałe. Żadna ze mnie Kobieta Pracująca, przyznając bez bicia.

I nagle pojawia się szansa tak łatwego zarobku. Na ile sposobów mogłabym wydać tę kasę... Wycieczka w ciepłe kraje.

Albo markowe ciuchy i kosmetyki – żegnaj lumpeksie. Może wpłaciłabym wszystko na konto i oszczędzała? Mamona to niezależność. Niby taki drobiazg, że nie musiałabym prosić rodziców o forszę za każdym razem, gdy chcę wieczorem wyjść do knajpy.

Jedna Madzia pochwaliła moją decyzję. Ojciec kategorycznie zabronił, mama groziła, że ją do grobu wpędzę. Typowe. Tłumaczyłam im, że jestem pełnoletnia, a więc i dorosła (cha, cha) i chcę sama kierować swoim życiem. Tomo ostrzegął. Był bardzo zatroskany. Wypomniałam mu, że wcześniej nie uchronił mnie przed fatalnym występem w mediach.

– Wiem i żałuję. Pamiętasz, co przeżywałaś? Nie pchaj się w to znowu.

Odparowałam, że jego troskliwość wynika z zazdrości. Nie każdemu trafia się taka fucha.

– Co, będziesz się źle czuł, kiedy to ja będę ci stawiać piwo i fundować kino? – Obraził się na mnie. Miał rację. Teraz wiem.

Wystąpiłam w tej reklamie. Myślę, że to była jedna z tych decyzji, które ważą na całym życiu. Niestety.

„Tańcz głupia, tańcz, swoim życiem się baw, wprost na spotkanie ognia leć... Tańcz głupia, tańcz, wielki bal sobie spraw, to wszystko, co dziś możesz mieć...” No i poszłam w tango...

* *
* *

Stałam się zatem osobą popularną. Co to oznacza? Po pierwsze, pogorszyły się moje relacje z bliskimi – nie potrafili mnie zrozumieć. Po drugie, wpadłam w lekką paranoję: wszyscy

wszędzie mieli mnie obserwować. Nieustannie czułam na sobie ciężar taksujących spojrzeń. Nawet kiedy siedziałam sama w pokoju! Zwyczajne życie mnie uwierało. Idąc do sklepu po bułki, musiałam być starannie umalowana, dobrze ubrana. No bo w kolorowych magazynach publikowali czasem moje zdjęcia. Takie jak idę z Madziszonom (ona z czarną kratką na oczach jako osoba prywatna. W takim razie ja jestem osobą publiczną, jak nie przymierzając, publiczne są toalety) w szortach i liżę loda. I podpis: „Taka młoda i już monstrualny cellulit! Na jej miejscu darowalibyśmy sobie chociaż słodycze”. Więc pożegnałam się na zawsze z krótkimi spodenkami czy spódnicami. Nie sposób było wyciągnąć mnie na basen, gdzie przecież paparazzi mogliby uwiecznić moje odsłonięte słoniowe ciało. Dziwne, że przez ponad osiemnaście lat bytowania na tym świecie nie przyszło mi do głowy, że jestem gruba i niezgrabna. Cóż było robić? Rozpoczęłam drakońską głodówkę. Tomik dogadywał: „Anoreksja już nie w modzie, pilnuj trendów, bo wypadniesz z obiegu”. Albo dosładzał mi ukradkiem herbatę. Ależ mnie wnerwia! Trudno to nazwać wsparciem, ale też, uczciwie mówiąc, byłam wtedy uciążliwa jak wrzód na tyłku.

Pewnie drażni was nieco mój prostacki język? Też go nie lubię. Śmieszne? Wierzcie lub nie, większości swoich cech nie lubię. No bo kim ja jestem? Płytką celebrytka, ot co!

Show-biznes zaczynał już mi się odbijać na zdrowiu. Nie jadłam w sposób zacięty i desperacki. Dzięki temu czułam się trochę lepsza, silniejsza. Aż do momentu, kiedy w Maglu towarzyskim napisali, że mam anoreksję. Długo, bardzo długo

wpatrywałam się w lustrze w swoją bladą, pociągłą twarz. Powiedziałam na głos, dobitnie:

– Nie zrobiłam nikomu nic złego. Wszyscy normalni akceptują mnie jako normalną osobę. A ci z gazet zawsze znajdują powód, żeby się dopieprzyć. Za grubość, chudość, obojętnie. Jeżeli im na to pozwolę, skrzywdzą mnie i jeszcze będą się karmić moim nieszczęściem.

Po czym wypiliśmy cztery puszki mocnego piwa i usnęłam ze świadomością, że rozwiązałam problem. Następnego dnia zaczęłam jeść. Tak zwyczajnie, po prostu, nawet bez jakiejś specjalnej zachłanności, spowodowanej długim postem. Na śniadanie – bułka z masłem i jajecznicą z dwóch jajek. I mimo że byłam lekko skacowana, zrobiło mi się dobrze i lekko na duszy.

Ale to była tylko pierwsza z całego stosu kłód rzuczanych mi pod nogi. Uprawiałam mentalny bieg przez płotki – w tym wypadku: plotki. Czasem wredne, czasem tylko głupie „sensacje” rozsiewane hojnie przez kolorowe szmatławce. Że farbuję włosy. A figę! Jestem naturalną blondynką. Nigdy nawet nie tknęłam żadnego rozjaśniacza. Tomeczek nazwał mój kolor „elfickim blondem” – bo jest czarodziejski – i zmienny: zimą złotawy, ciemniejszy, a latem tak jasny, że aż prawie biały jak lody śmietankowe. No! Ale oni oczywiście podsumowali jedną z moich zalet jako „kiepsko dobrane i tandetne farbowanie”. W pierwszym porwywie złości chciałam iść do fryzjera i zrobić się na czarno – dopiero by mieli powód do gadania! „Albo ogolę się na лыso!” – myślałam mściwie. Tylko w kogo miał być wymierzony ten odwet? Ucierpiałby tylko Tomek, który jest

bardzo przywiązany do moich włosów. Lubi brać ich pasma w dłonie i bawić się nimi, przesypywać je jak piasek między palcami... Więc dałam sobie siana.

Następnie, że mam krótkie i krzywe nogi. Jestem raczej niska, to jak kończyny mają być długie? Proste też nie są, fakt. Takie urosły i co im zrobić? Obetnę? Nadali mi wdzięczny pseudonim „Kaczka Prostaczka” – pierwszy człon za wygląd, drugi za pyskatość. Śmiejecie się? A mnie bolało.

Aha, że jestem alkoholiczką też było, oczywiście, jakżeby nie! Supernews poparty jeszcze bardziej supernową fotką: idę uwieszona na ramionach Magdy i Tomka, oczy mam mętne i tępy uśmiech. Gęba czerwona. Zapijaczona paskuda – widać jak na dłoni! Help, help, help!

Przewrażliwienie na własnym punkcie, jakaś taka autoparanoja wrosła niepostrzeżenie w moje myślenie. Ciągłe tylko ja, ja i ja. Jaka jestem? Jak widzą mnie inni? Co jeszcze powiedzą na mój temat? Może nie powinnam już nigdy się uśmiechać, bo zauważą, że mam żółtawy ząb, lewą trójkę?

Byłam jak parówka w folii – wiecznie zapakowana w obronny pancerz, przez który nie dało się oddychać. Niby mnie zza niego widać, ale nie sposób dotknąć prawdziwej skóry. Cały czas byłam ostrożna i spięta: wszak Wielki Brat – Opinia Publiczna patrzy! I to przez lupę, dostrzeże każdą nierówność skóry, rozszerzony por, najmniejszy pryszczek. Tomo przezywał mnie „Maska Zorro”, bo wśród znajomych bywałam tak sztuczna, że aż mdliło. Było jak w piosence Varius Manx: „[...] twój śmiech zawstydzą cię, więc wolisz nie śmiać się, niż chwilę śmiesznym

być [...] obmyślasz każdy gest na wypadek, by nikt nie odgadł, kim naprawdę jesteś [...]”.

Ale przy nim mogłam odpuścić i wtulona w jego chudy brzuch zapomnieć... pozwolić sobie na miękkość, niedoskonałość, prawdziwość.

* * *

Jakiś czas potem dla odmiany wydarzyło się coś miłego. Dostałam zaproszenie na bankiet. Olaboga! Szara mysza wdrze się oto na salony! Byłam podniecona jak Kopciuszek przed bałem! Nerwy i radość w proporcji pół na pół. Zamówiłam wizytę u kosmetyczki i fryzjerki. Układałam w myślach rozmowy, jakie będę prowadzić ze znanymi ludźmi. A może zdobędę cenne autografy? Doszłam do wniosku, że jednak nie wypada o nie prosić. Moje pierwsze wejście w wielki świat zapamiętam na zawsze. Widzicie, jako nowicjuszka, nie rozumiałam, że takie imprezy przypominają wystawę rasowych psów. Nie chodzi o to, żeby się dobrze bawić, poznawać fajne osoby („tam” wszyscy już się znają, niekoniecznie osobiście), sęć w tym, żeby zaprezentować nowy strój, fryzurę, pieska, komórkę, partnera... jakiś gadżet. Targowisko niewolników własnej próżności. Podzieleni są na kasty – znani z programów reality show stoją najniżej, potem są piosenkarze, sportowcy i aktorzy serialowi, a na szczycie dziennikarze i „prawdziwi artyści”. Czy jakoś tak.

Ale tych prostych prawd jeszcze nie znałam. Krążyłam wokół zaproszonych gości z zapomnianym malibu w dłoni. Patrzyłam i chłonełam, i zachwycałam się. Byli tam ludzie, których

podziwiałam, na przykład stara, zgryźliwa i fenomenalna malarka. Byli piękni jak marzenie bohaterowie moich ulubionych seriali. Laski i ciacha, nimfy i playboye, królowe salonów i gentlemani... Magia. Uroda i luksus. Na swoje szczęście nie śmiałam nikogo zagadnąć (choć nawet nie wiedziałam, że to wbrew etykietcie). Zauważyłam, że rozmowy płyną niemrawo, sztywno, rwą się. Panie za często wybuchały perlistym śmiechem. Byłam cichym świadkiem konwersacji dwóch czterdziestoletnich diw piosenki pop (media raz donosiły o ich serdecznej przyjaźni, a raz o zacieklej nienawiści). Obok nich kręcił się fotograf, widziały go, choć udawały, że wcale nie.

Diwa pierwsza: „Co pijesz?” – uśmiecha się uroczo, ukazując zęby białe jak perełki.

Diwa druga: „Taaa... ciekawe, jakiego stylistę ma teraz Robert... te spodnie... nie, no wybacz!” – robi z warg słodki dziobek, poprawia włosy.

Diwa pierwsza: „Za gorąco mi” – nieznacznie wysuwa biodro do przodu, ekspozuje talię.

Diwa druga: „Kogo oni tu dziś naspraszali?” – wydyma i tak już ekspansywne od nadmiaru silikonu usta i mruga.

Diwa pierwsza: piorunuje wzrokiem fotoreportera, który coś tam poprawia przy aparacie i nie kwapi się, żeby je uwiecznić na kliszy.

Diwa druga: w jej oczach miga jakby iskierka zrozumienia, zbliża się do koleżanki po fachu – „Kochana, chciałam serdecznie pogratulować złotej płyty! Brawo, skarbie!”

W powieści wykorzystano cytaty z następujących utworów:

SAMI „Lato” – str. 5

WILKI „Cień w dolinie mgieł” – str. 7

LADY PANK „Tańcz, głupia, tańcz” – str. 11, 26

VARIUS MANX „Pocałuj Noc” – str. 14

HALINA KUNICKA „To były piękne dni” – str. 22

VARIUS MANX „Tokyo” – str. 32

MICHAŁ BAJOR „Nie chcę więcej” – str. 38

ROBERT KASPRZYCKI „Niebo do wynajęcia” – str. 39

SKALDOWIE „Medytacje wiejskiego listonosza” – str. 43

MYSLOVITZ „Dla ciebie” – str. 44

LADY PANK „Dopóki da czas” – str. 53

ABRADAB „Rapowe ziarno” – str. 54

LADY PANK „Sztuka latania” – str. 65

PATRYCJA MARKOWSKA „Dla Ciebie” – str. 67

ANNA JANTAR „Nic nie może wiecznie trwać” – str. 68, 70

O.N.A. „Kiedy powiem sobie dość” – str. 76

ADAM ASNYK „Powój” – str. 79

GRABAŻ I STRACHY NA LACHY „Taka miłość” – str. 85

URSZULA „Niebo dla Ciebie” – str. 89

MICHAŁ BAJOR „Taka miłość w sam raz” – str. 92

ANDRZEJ I ELIZA „Julia” – str. 93

ANNA MARIA JOPEK „Na dłoni” – str. 94